



CIASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE
DLA DZIECI.

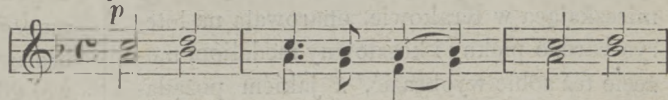
Prenumerata wynosi: w Warszawie Rocznie Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny.—Kwartalnie Rs. 1 i kop. 2½; na Szpital Dziecinny.—
Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: Półrocznie Rsr. 2 kopiejek 50 i 5 kopiejek na Szpital Dziecinny. — Za granicą Rsr. 6.—
Adres Redakcyi: Ulica Marszałkowska Nr. 77

Treść.—Śpiew (z drzeworytem).—Ziarnka moralności.—Wiersz.—Święcone starościanek.—Nawrócenie, powieść historyczna, przez Paulinę Kraków.—Objaśnienie wzorów do rysunku.—Przygody młodego podróżnika w Tatrach, M. J. Zaleskiej z drzeworytami (ciąg dalszy).—Kalendarzyk.—Zagadki i rozwiązania.

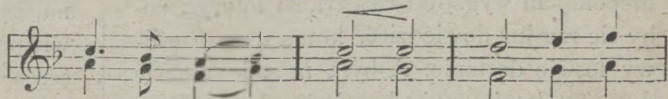
ŚPIEW WIELKANOCNY.

Nie zbyt wolno.

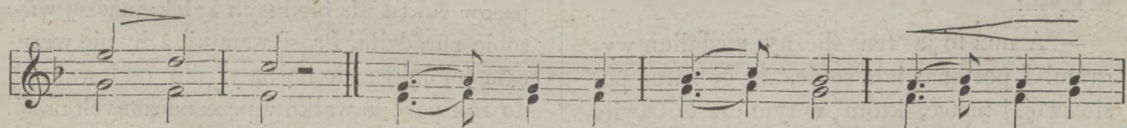
Słowa Jaskółki.



Wi - taj ra - do - sny jak tchnie-

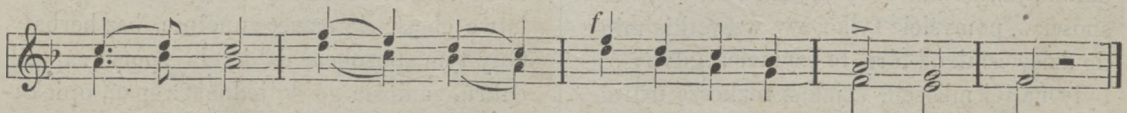


nie wio - sny bło - go - sła - wio - ny



wi - taj dniu

Świat	zba - wion	zo - stał	Bóg z gro - bu
Zbaw - cy	cy moc	świę - ta	rwie śmier - ci
Pan	sze po - cie	chę	pod każ - dą



po - wstał
pę - ta
strze - chę

We - sel się lu - du i dzie - kuj Mu.

Ziarnka moralności.

Najlepszą zachętą do dobrego są przykłady z rzeczywistego życia czerpane. Dla tego też, dzieci kochane, opowiemy wam dziś o dwóch dziewczynkach, które żyją wśród nas, na naszej ziemi; jedna z nich jest bogata, druga uboga, każda z nich spełniła według możliwości swojej piękny, szlachetny czyn miłosierdzia chrześcijańskiego, zasługujący na wasze uwielbienie. To, co czytać będziecie, wydarzyło się naprawdę, bardzo niedawno, nie jest to wcale jakaś zmyślona powiastka.

Rok obecny ciężki jest dla ubogich ludzi; w wielu okolicach kraju naszego, tak samo jak i na Szlązku, panuje głód, straszna nędra daje się czuć i po wsiach i po miastach. Wszędzie też ludzie miłośni starają się zaradzić tej klęsce, zbierając rozmaitemi sposobami składki i jałmużny. W Krakowie przed kilku tygodniami dobroczynne panie urządziły wspaniałą zabawę, z koncertem, loteryą, bazarem, na którym sprzedawano różne przedmioty, a wszystko to na korzyść ubogich. Jedna z arcyksiężniczek austriackich, mieszkająca w Krakowie, ofiarowała na loteryą bardzo piękny i kosztowny medalion; możecie też sobie wyobrazić, z jakim pożądaniami każdy kupujący bilet myślał o wygraniu tego fantu. Cały Kraków z gorączkowym niepokojem wyglądał rozegrania loteryi, żeby się raz już dowiedzieć, komu ten szczęśliwy los się dostanie. A była na tej zabawie dwunastoletnia panienska, która drżącą rączką wyciągając bilety na loteryi, powtarzała w myśli:

— A nuż to ja ten śliczny medalion wygram! I postanawiała sobie, że go zaraz pošle swojej matce, która w tym czasie bawiła dla zdrowia zagranicą. Rozwija bilety i o radości! jeden z nich w rzeczy samej wygrywa ten skarb pożądan! Podają jej szacowny medalion, już go ma w ręku, już stał się jej własnością!.. pomyślcie tylko, wy wszystkie młode dziewczątka, które to czytacie, gdybyście były na jej miejscu? Z jakąż rozkoszą ustroiłybyście się w ten piękny klejnot. A wicież, co ona uczyniła? Spojrzała na medalion i

w oku jej lezka się zakreśliła, bo przypomniała sobie, że on był przeznaczony dla ubogich, dla tych, którzy nie pragną ozdób, ani klejnotów, którym braknie powszedniego chleba i pierwszych potrzeb do życia. I bez namysłu, bez żalu, podała piękny medalion jednej z pań, pełniących obowiązki gospodyni, z prośbą, aby powtórnie na loteryą był puszczone, na korzyść ubogich. Naturalnie, że powtórna rozprzedaż biletów na fant tak wspaniały znaczną przyniosła sumę i znakomicie powiększyła zebrany fundusz. Dobra panienska, powróciwszy do domu, napisała do matki; nie przesyłała jej szacownego daru, tylko z prostotą opowiedziała wszystko w tych słowach: „Wygrano na loteryi ów sławny medalion! Wygrałam go—ja, ale zaraz oddałam znów dla ubogich.“ Jesteśmy pewni, że matka, która tak wychowała swoją córeczkę, musiała ten czyn jej wyżej ocenić od wszystkich w świecie klejnotów.

Posłuchajcież teraz o drugim zdarzeniu. Dziewczynka uboga, tegoż samego wieku, mieszkająca w Warszawie, słyszała, jak rozmawiano o zakładzie dla nieuleczalnych kalek przy ulicy Nowowiejskiej. Ktoś właśnie wspomniął, że zarząd tego zakładu z wdzięcznością przyjmuje różne dary od osób dobroczynnych, szczególnie cukier, herbatę, kawę, gdyż smaczniejsze pożywienie, a zwłaszcza napój ciepły, osłodzony, wielką ulgę przynosi tym nieszczęśliwym. Oni biedni leżąc muszą bez ruchu, bez żadnej nadziei wyzdrowienia, często przytępiwszy cierpiąc dotkliwie—serce dobrej dziewczynki wzruszyło się tą myślą. Ale rodzice jej nie są bogaci, nie mogła więc żądać od nich ani pieniędzy, ani zapasów cukru dla biednych kalek; inaczej więc sobie poradziła. Prosiła matki, żeby nie wrzucała jej cukru do herbaty, ale oddawała jej do rąk parę kawałków przeznaczonych na to. I wówczas przez kilka tygodni piła herbatę bez cukru, a polykając gorzki napój, myślała sobie, że ona przecież ma zdrowe nóżki, może biegać, bawić się, nie ją nie boli, jej tak łatwo obejść się nawet zupełnie bez herbaty. Gdy tym sposobem uzbierała spory zapasik cukru, zaniósła go do jednej z pań, opiekunek schronienia nieuleczalnych kalek, prosząc, żeby im ten dar doręczyła.

Nieprawdaż, dzieci, że obie te dobroczynne panienki serdecznie kochacie i radebyście poznać je, choćby tylko z imienia. Ale my opowiedzieliśmy wam o nich dla nauki i przykładu, żebyście się starały je naśladować. Imion tych dziewczynek nie wypisujemy, one pewnie nie pragną rozgłosu, nagrodą ich jest zadowolenie wewnętrzne, to przeświadczenie, że przyniosły ulgę cierpiącym. Te, które tak pięknie umiały spełnić czyny chrześcijańskiego miłosierdzia, pewnie pamiętają na słowa Zbawiciela: *Gdy czynisz jałmużnę, niech nie wie lewica twoja, co czyni prawica, ażeby jałmużna twoja była w skrytości; a ojciec twój, który widzi w skrytości, odda tobie.*

Władysiovi Z.....

(po odebraniu fotografii, przedstawiającej go w wieśniaczym stroju).

Ej, jasnowłose, polskie ty chłopię,
W twych oczkach tyle wymowy,
Co w gwiazdach, lśniących na niebios
[stropie
W pogodny wieczór majowy.

A jaka słodycz, jaka prostota
W twojej twarzyczce dziecięcej!
O! niechaj jeszcze długo żywota
Te rysy wgłębi tam więcej.

Siwa czapeczka na twojem czole,
Postać w sukmanę opięta;
Wyglądasz niby wiejskie pachole,
Chwacko ubrane od święta.

O! kochaj, kochaj ten ludek boży,
Co chodzi w sukmanie szaręj;
Co twoje mienie pracą swą mnoży
I strzeże ojców swych wiary.

O! kochaj, kochaj tę swojską
[strzechę,

Gdzie tyle dobra się plemi...
I żyj na chlubę i na pociechę
Swojej rodziny i ziemi!..

Jaskółka.

Święcone starościanek.

(Z dawnego podania).

Ruch i gwar wielki panował we dworze pana starosty przez cały tydzień poprzedzający Święta Wielkiejnocy; rokrocznie bowiem przygotowywano tam sute i niezmiernie obfite święcone. Panny starościanki same od rana do nocy przesiadywały w oficynie; najstarsza, Bogumiła, szesnastoletnia dziewczeczka, zarządzała wszystkiem w kuchni, młodsza o rok Halina ustawicznie z kluczykami biegała do apteczki i przeróżne ztamtąd wydawała zapasy, nawet dziesięcioletnia Jagusia pomagała siostram, wybierając migdały i rodzenki, przesiewając cukier i korzenie tłuczone do ciast. W wielkiej izbie, umyślnie na to przeznaczonęj, składano niezliczoną ilość babek, placków, mazurków, tłuczeńców, a i mięsiwa tam była wielka obfitość, i ktoś, nieznający zwyczajów pana starosty, wnosiłby ztąd zapewne, że w tym dworze spodziewano się na Wielkanoc licznych a dostojnych gości. Ale pan starosta od lat już wielu żył samotnie i dziewczeczki także przywyknąć musiały do takiego życia; matka ich dawno spoczywała w grobie rodzinnym, a ojciec nie mógł znieść widoku wesołych twarzy, zmarszczka głęboka z czoła jego nie schodziła i chociaż córki swoje miłował, nigdy jednak się do nich nie uśmiechnął. W duszy jego ciężka zaległa troska, bo syn jedyny, chluba i nadzieja rodu, zginął śmiercią walecznych pod Wiedniem. Dziesięć lat mijało już od téj pory, gdy wieść straszliwa spadła jak piorun na nieszczęśliwych rodziców; starościana życiem ten cios przyplaciła, Bogumiła i Halka jak przez sen pamiętały tę straszną chwilę, ale Jagusia, która wówczas właśnie dopiero co na świat przyszła, już tylko z opowiadania siostr znała te smutne dzieje.

A teraz zapytacie zapewne, poco tak sute święcone przygotowywano w tym dworze, gdzie nigdy weselsze uczyty się nie odbywały? Ale w rodzinie pana starosty był obyczaj dawny, który przechodził z pokolenia na pokolenie, od niepamiętnych czasów. Przez cały tydzień, od pierwszego święta Wielkiejnocy

aż do Przewodniej niedzieli, w obszerniej izbie zastawiano stoły ze święconém, otwierano podwoje i każdy ubogi, każdy podróżny, starcy, sieroty, oto byli goście, którzy się gromadzili przy tych stołach suto zastawionych. Panienki same usługiwały wszystkim, tak jak same zajmowały się przyrządzaniem święconego, które téż z tego powodu wszędzie w okolicy nazywano: święconém starościanek.

Owa Wielkanoc, o której tu opowiadać mamy, przypadła niezwykle późno. Lasy i łąki już zaczynały się zielenić, wszędzie na świecie było tak pięknie, jasno, wesoło; ale pan starosta w dni świąteczne chmurniejszy był jeszcze, niż zwykle. Wysłuchawszy mszy świętej w kaplicy, dzielił się jajkiem święconém z córkami, sędziwą ochmistrzynią i kapelanem, a później, ledwie dotknąwszy zastawionego jądła, wysunął się do swoich pokoi, gdzie nikt nie śmiał przerywać jego samotności. Dziewczęta wkrótce podążyły do izby gościnnnej, gdzie już od rana napływało ubóstwo, nieraz z dalszych stron nawet śpieszące na święcone starościanek. One, przypasawszy białe jak śnieg fartuszki, uwijały się około stołów, krajały własnymi rękami mięsiva i ciasta, rozlewały miód i piwo, zachęcały każdego do jedzenia. Gdy już wszyscy się nasycili i zabierali się do wyjścia, błogosławiąc dobroczynne ofiarodawczynię, one każdemu szepnęły z cicha: Za duszę Janusza odmówcie paciorek. Już przy stole nie było nikogo i dziewczęta miały odchodzić, gdy na progu stanęła wynędzniała postać, nieśmiało spoglądając dokoła. Był to człowiek nie stary jeszcze, ale dziwnie wyniszczony, osiwiwały widocznie przed czasem, odzież na sobie miał obdartą, kij w ręku, obuwie pyłem pokryte, śnać długą odbywał drogę.

— Niech będzie pochwalony, odezwał się drżącym głosem.

— Na wieki wieków, chórem odpowiedziały starościanki, usiądźcie, dziadku, spoczniście i posilcie się święconém. Strudzeniście zapewne, może z daleka idziecie—dziadkiem go nazwały, bo niewiedziały jakieby mu inne dać miano.

— O tak, paniątka miłe, z bardzo daleka przychodzę i chciałem dalej iść drogą, gdzie oczy poniosą, bom nawet i zapomniał, że

dzisiaj święto Zmartwychwstania, gdy obaczyłem, że tu lud ubogi idzie w tę stronę tłumem, więc pociągnąłem i ja za innymi, a jeśli łaska wasza, chętnie tu się posilę i spocznę.

— A zkądże wy idziecie, dziadku? spytała Halka, trochę onieśmielona; z pogańskiego chyba jakiegoś kraju, kiedy o Wielkiejnocy mogliście zapomnieć.

— A tak, panienko, wracam z jasyru tureckiego, gdzie długie lata przebył w ciężkiej niewoli; zestarzałem się przed czasem, ale Bóg dobry pozwolił się wydobyć przed śmiercią z pogańskiego jarzma. Cudem prawie wymknąłem się i dowlokłem do kraju o żebranym chlebie. Tu już między swoimi nie zginę, chociaż sam jeden jestem na świecie, bo sierotą byłem, gdy się dostał do wojska na luzaka.

— Zostaniecie u nas, dziadku, póki do sił nie przyjdziecie, rzekła Bogumiła, ojciec nasz nie żałuje chleba biednym, on taki dobry, pewno wam sposób do życia obmyśli.

— Bóg wam zapłać, Bóg zapłać, mówił podróżny, a gdy się posilił, dziewczęta przywołały jednego z zaufanych domowników, ażeby mu wskazał izbę gościnną, gdzieby mógł wypocząć, nim ojcu doniosą o nim. Gdy wychodził, Bogumiła swoim zwyczajem wyrzekła:

— Za duszę Janusza odmówcie paciorek.

— Janusza? powtórzył podróżny, zatrzymując się w progu i powiódł ręką po czole, jakby zbierał myśli; Janusza?

— Tak, mówiło dziewczę, Janusza, brata mego, który zginął pod Wiedniem w obronie krzyża i świętej naszej wiary.

— Janusza... za duszę Janusza... pod Wiedniem, powtarzał podróżny takim dziwnym głosem, że siostry spojrzały na siebie nieco strwożone, sądziły, że długie cierpienia w niewoli umysł jego obłąkały.

— Darujcie, rzekł podróżny, spostrzegłszy zapewne to wrażenie, ja mówię całkiem przytomnie. To imię Janusza przypomniało mi dziwną przygodę w jasyrze. Na miesiąc może przed moją ucieczką, basza, u którego byłem ogrodnikiem, uprosił sobie u innego bogatego Turka kilku niewolników na dzień jeden, do pilnych ogrodniczych robót. Był mię-

dzy nimi jeden dziwnie pięknego oblicza, poznałem też odrazu, że Polak, ale dozorca, który go przyprowadził, człek jakiś dziki i okrutny, nie pozwalał mu ani słowa przemówić do mnie, chociaż i on także poznał we mnie rodaka. Znalazła się jednak szczęśliwa chwilka, kiedyśmy mogli parę słów z sobą zamienić. Powiedział mi wówczas ów młody człowiek, że był w niewolę wzięty pod Wiedniem, tak samo, jak ja, a nie ma nadziei wydostać się z rąk swojego okrutnego pana, bo w ojczyźnie wszyscy go mają za umarłego. Zkąd on to wiedział, nie wiem, nie miał czasu mi wytłómaczyć, szepnął mi tylko jeszcze: --Jużby mię dawno byli wykupili; mój ojciec jest bogaty i możny, jest starostą, nazywam się Janusz... ale nazwiska nie mógł już wymówić, bo dozorca wrzasnął na niego i biczem pogroził, a strzeżono go więcej od innych. Otóż, kiedyście powiedzieli: Janusz, brat mój, mnie raptem stanął na myśli ten jeniec, bo z pięknego oblicza, jak dwie krople wody do was był podobny.

Siostry słuchały oniemiale ze wzruszenia, a wtém jęk głuchy ozwał się za niemi, odwróciły się całe drżące, starosta stał na progu drzwi prowadzących do dalszych pokoi, on słyszał także słowa podróznego, lecz w pierwszej chwili gwałtownego wrażenia i on przemówić nie mógł. Ozwał się wreszcie głosem wielkim:

— Człowieku! czyś ty anioł z nieba zesłany, czy też przychodzisz mnie kusić złudną wieścią? Syn mój zginął, oddano mi sygnet, który miał na palcu, gdy martwe ciało jego na placu boju znaleziono. Nie, nie, ty zwoździsz nas.. a jednak, dzieją się cuda na świecie. O, Boże, wielki Boże! czyżby syn, którego przez lat tyle oplakiwałem, miał z martwych powstać!

— Ja was uwodzić nie chcę, mówił podróźny, kładąc rękę na piersi, przysięgam, że mówię prawdę, nic nie dodaję, ani zmyślam. Ów jeniec mówił mi, że ma na imię Janusz, że w kraju wszyscy, nawet ojciec rodzony, mają go za umarłego, mówił, że ojciec ten jest starosta, a czém więcej patrzę na tę cudną pannikę, tém wyraźniej widzę w niej dziwne podobieństwo do jego oblicza.

-- Tak, tak, on zawsze był taki podobny

do Boguni! to on! to on! i starosta padłszy na ławę, wybuchnął długim tłumionym płaczem.

Nie było jednak czasu do stracenia; posłano natychmiast do najbliższego klasztoru księży Trynitarzy. Powołaniem tych zakonników było wykupywanie jeńców z rąk pogańskich, wiedzieli więc najlepiej, jak się wziąć do tego. Starosta chciał koniecznie samjechać z nimi na Turczczyznę, ale oni go od tego odwrócili; nieznając krajowych stosunków, ani zwyczajów, mógł im przeszkadzać zbytnim pośpiechem i gorączką. Stanęło więc w końcu na tém, że księży Trynitarze pojechali sami, zabierając z sobą znaczne sumy pieniężne; ów zbieg z jasyru opowiedział im bardzo szczegółowo, gdzie mają szukać starościca, bo wiedział nawet, jak się nazywał ów Turczyn, u którego był w niewoli.

I zaczęło się długie, męczące oczekiwanie. Starosta raz wpadał w rozpacz, to znów nadzieja się w nim budziła; dziewczęta na każdy szmer zrywały się z bijącym sercem i wybiegały w podwórze; ślubowały one, że jeśli Bóg pozwoli im oglądać tego brata, który miał z grobu powstać dla nich, będą co rok, przez cały czas postu, szyły bieliznę i odzieni dla ubogich i wraz ze święconém rozdawały je w dniu Wielkiejnocy. Jedyną ulgą dla całego domu były godziny, gdy wszyscy zgromadzili się w kaplicy na wspólną modlitwę. Odmawiano Nowennę za Nowenną; gdy kapelan zaintonował litanią do Najświętszej Panny, gdy zgodne głosy trzech sióstr stały do Nieba prośbę gorącą: Matko Zbawiciela! Matko Odkupiciela! Pocieszycielko strapionych! Módl się za nami! serce starosty miękło, uciszała się dusza jego skołatana i uginając kolano z chrześcijańską pokorą i rezygnacją, ufność swą całą składał w tej Najświętszej Pocieszycielce.

Pewnego wieczora ciemno było i wietrzno na dworze, deszcz lał jak z wiadra, cała rodzina zgromadziła się w izbie jadalnej; starosta znużony zdrzemnął się w dużém swoim krześle w zagłębieniu okna, dziewczęta rade, że ojciec choć chwilkę spocznie, w milczeniu jakieś róbótki trzymały w ręku, ale żadna nie mogła się przyłożyć do szycia, jakiś dziwny niepokój je ogarnął; cisza głęboka zaległa dokoła.

Wtém nagle psy zaszczekały głośno, zaturkotało na dziedzińcu, starosta zerwał się na równe nogi, chciał biedz na ganek, ale nie był w stanie poruszyć się z miejsca, tylko obiema rękami uchwycił się krawędzi okna i półgłosem szeptał: Bądź wola twoja, Panie, jako w Niebie tak i na ziemi! Jezu najświętszy ratuj! Ale dziewczęta krzyknęły i nieprzytomne prawie biegły w ganek, a nieupłynęło i pół minuty, gdy znów do uszu starosty, doleciały okrzyki radości:—To on! Żyje! Janusz nasz żyje!

Poskoczył więc z wyciągnionemi ramionami, a w téjże saméj chwili na progu izby ukazał się wysoki, piękny mężczyzna i wołając: Ojczu, mój ojczu! padł do nóg starosty, który z głośnym płaczem obejmował go i jak dziecię pochwycił w silne ramiona, tulił do piersi, niewyraźne i przerywane wymawiając słowa.

W pierwszój chwili zapomniano zupełnie o zakonnikach, którzy weszli cicho za Januszem i stojąc w najciemniejszym kącie izby, przypatrywali się z rozrzewnieniem téj scenie. Lecz gdy się nieco uspokojono, gdy wszyscy zasiedli przy stole suto zastawionym, a starosta kazał przynieść z piwnicy stare, omszałe butelki węgryzna, rozpoczęły się opowiadania. Dowiedziano się teraz dopiéro, jakim sposobem Janusz tak długo za umarłego uchodził. Młodzieniec w czasie bitwy zabił Turczyzna, który miecz podniósł nad jego głowę, lecz w téjże saméj chwili drugi stary Turek powalił go o ziemię i wziął w niewolę. Był to ojciec zabitego; w pierwszój chwili chciał go zamordować, lecz później rozmyślił się, że dla szlachetnego rycerza upokarzająca niewola sroższą karą będzie od śmierci. Zdjął więc z niego suknie, ściągnął mu sygnet z palca i w oczach jego włożył to wszystko na trupa, który z wzrostu podobny był do starościca i któremu twarz do niepoznania porąbał.

Ciężką była niewola Janusza, ale siły młode go podtrzymały, a miłosierdzie Boże uratowało. Wiele mieli trudności zacni księża Trynitarze, nim zdołali go wydobyć z rąk mściwego prześladowcy. Turek o okupie ani chciał słyszeć, ale Janusz, mając wielkie sumy pieniężne, przesłane przez ojca, prze-

kupił swojego dozorcę i razem z nim umknąć zdołał.

Nazajutrz z rana solenne nabożeństwo odprawiało się w kaplicy, śpiewano chórem hymn dziękczynny: Ciebie Boże chwalimy! Ale że na tym świecie niema zupełnego szczęścia, więc i tu wśród radości ogólnej była smutna chwila, gdy cała rodzina zgromadziła się na grobie starościny, która boleść swoją życiem przypłacała. Janusz, teraz dopiéro dowiedziawszy się o śmierci matki, przeboleł ją, jakby świeżą stratę.

Następnój wiosny znów na Wielkanoc we dworze pana starosty stoły uginały się pod suta zastawą; na pokojach podejmowano sąsiadów, bo już teraz smutek przeminał, a stary dwór zawrzał życiem i weselem. Ale do wielkiéj izby gościnnéj, dawnym obyczajem, schodziło się ubóstwo, a starościanki rozdierały święcone i rozdawały odzienie własną ręką uszyte. Czyż potrzebujemy dodawać, że ów podróżny, który przed rokiem przyniósł wieść radosną z tureckiej krainy, nigdy już dworu pana starosty nie opuścił i miał tam chleb łaskawy do śmierci.

NA WRÓCENIE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

Paulinę Kraków.

Ziemowit stoi wedle ojca, prawie
Z drugimi równo; wyższyś Mieczysławie
Którego sprawą chrześcijański zakon
Podan Polakom.

Jan Kochanowski.

Kiedy syn Ziemomysła skończył siódmy rok życia, zebrała się cała książęca rodzina, liczną drużyną otoczona, by dopełnić podług pogańskiego zwyczaju obrzędu postrzyżyn. Chłopię było piękne, dobre i nad wiek swój rozumne, a przecież każde na nie spojrzenie smutkiem napełniało serca rodziców, bo oczy jego od urodzenia cieniem pokryte, nie widziały dotąd promieni słońca. Podczas uroczystości, gdy jasne włosy, staczające się po ramionach, padły pod ostrzem błyszczących nożyc, a chłopczyzna, dziecięcim tylko mia-

nowany, otrzymał imię Mieczysława, stała się rzecz dziwna i niepojęta; jak gdyby zasłona jakaś spadła z oczu młodzianka, w błękitnych lecz martwych dotąd źrenicach zajaśniał wyraz radości i ślepy przejrzał nagle, ku szczęściu i weselu rodziców swoich i ku podziwieniu wszystkich obecnych.

Z tak niezwykłego zdarzenia poczęto snuć rozliczne domysły i wróżby, i wszyscy zgadzali się na to, że to cudowne przejrzenie Mieczysława musi być przepowiednią wielkich i niezwykłych rzeczy, których on dorosłszy świadkiem lub sprawcą będzie.

Ale mijały lata, Mieszko wyrosł w młodziana, a następnie w męża, już od lat kilku po ojca zgonie rządził Polską, a jeszcze nie nadzwyczaj ważnego nie zaszło w kraju, co by owe wróżby sprawdzać się zdawało. Zbierały się przecież powoli żywioły ku poważnym zmianom, powoli mówię, bo w życiu narodów nie nagle nie przychodzi; każdy objaw musi mieć swoje źródło, czasem bardzo odległe, i każdy po sobie na przyszłość pozostawia następstwa.

Chociaż w ogóle Polacy trwali w bałwochwalskich błędach, wielu jednakże było pomiędzy nimi, którzy, czy to w spokojnych wycieczkach do sąsiednich Czech i Moraw, czy w handlowych stosunkach z temi krajami, nabywali innych pojęć, poznawali wiarę chrześcijańską, przyjmowali ją sami, za powrotem szczepili ją w sercach swojej rodziny i lubo tajemnie, by ziomków swych pogan nie oburzać, wykonywali jej przepisy.

Mieczysław wiedział o tém, w niejednym zbliżeniu z czeskiemi i niemieckimi książętami poznał różnicę ich zwyczajów i wiary, lecz wygodniej mu było żyć podług pogańskiego obyczaju, dającego mu zupełną swobodę. Przy dworze i w radzie książęcej było również chrześcijan nie mało, ci widzieli, że Mieczysław w bałwochwalskim dniu swoje pędząc, nie ma ani domowego szczęścia, ani przywiązanej do siebie rodziny i poradzili mu, by pojął w małżeństwo córkę Bolesława I-go, księcia czeskiego, i tym sposobem by sobie przyjaźń potężnego sąsiada zapewnił.

Zgodził się na to Mieczysław, nastąpiły między obydwiema stronami układy, a najpierwszym ich warunkiem było wyrzeczenie

się ze strony nowożeńca błędów pogańskich.

Na początku roku 965 przybyła do Poznania, gdzie książę mieszkać lubił, Dobrawa, czyli Dąbrówka, otoczona licznym orszakiem (czeskich panów i niewiast, w towarzystwie biskupa i kapłanów prawego Boga. Mieczysław, po niedługim przygotowaniu do tak ważnego kroku, przyjął chrzest święty, poślubił Dąbrówkę, a ceniąc jej łagodność, pobożność i ciche domowe cnoty, szczęśliwy ten dla siebie wypadek świetnymi obchodził urocznościami i obdarował hojnie tych, co mu tak drogi skarb sprowadzili.

Bez zwłoki i z prawdziwą gorliwością zaczął się teraz książę rozszerzeniem prawdziwej wiary wśród poddanych swoich; zaczął budować kościoły, opatrzył je w potrzebne dochody i kosztowne sprzęty do odprawiania służby Bożej, sprowadził kapłanów i na ich utrzymanie naznaczył składanie dziesięciny, to jest dziesiątą część dochodu każdego mieszkańca. Wkrótce też założonem zostało najpierwsze w Polsce biskupstwo poznańskie.

Ale kiedy Mieczysław, wspierany i zachęcany przez pobożną małżonkę tak ważnym pracom cały się oddawał, lud szemrał, niechętnie wykonywał książęce rozkazy, a nieraz wyraźnie im się opierał. Polacy, zaślepieni błędami pogaństwa, atronili od nowej wiary, jak człowiek, który długo w ciemnicy zamknięty, a potem nagle na światło wyprowadzony, przyryka oczy, nie mogąc znieść od razu słonecznego blasku, i to co najwyższe szczęście ludzi stanowi, chwilowo uważa sobie za przyczynę cierpienia.

Jeżeli w granicę kraju wtargnęła garstka niespokojnych sąsiadów, jeżeli miejscowość jaką nawiedziła choroba, burza zniszczyła lub zagroziła zasiewom, jeżeli niezgoda powstała między mieszkańcami jednej osady lub rodziny, wszystko to przypisywano nowej wierze, utrzymując, że dawne bogi karzą tym sposobem odstępstwo Mieczysława. Zabobonny lud z tém większą czcią korzył się przed bałwanami, chcąc je przebłagać, a gdy chrześcijańscy kapłani usiłowali ich oświecić i nawrócić, udawali, że nie rozumieją czeskiej lub morawskiej mowy, tak bardzo wówczas do polskiej podobnej, by nie dopuścić nauki do rozdrażnionego umysłu. Do duchownych

zaś, przybyłych z Włoch lub Francji, chowali Polacy potrójną niechęć: jako do nieprzyjaciół ulubionych bogów, jako do cudzoziemców i nakoniec jako do tych, którzy mieli prawo dopominania się dziesiątej części każdego ich zbioru.

Bardzo zatem powoli postępowało nawracanie pogan w Polsce; tu i owdzie pojedyncze rodziny przyjmowały świętą naukę Ewangelii i to najczęściej kryć się z tym przed sąsiadami musiały, a jeśli gdzie za namową supanów *) całe opole chrzest przyjęło, to niezadługo usuwali się starsi od spełniania nowych obowiązków, a za ich przykładem szli i młodsi. Widząc to Mieczysław, postanowił czynnie niż dotąd zając się zbawiennym dziełem i w tym celu osobiście cały kraj swój zwiedzić.

Był to mądrze obmyślany środek, naród kochał swego księcia, potomka Piasta rolnika, postrzyżonego w pogaństwie Mieczysława i zawsze jeszcze oczekiwał spełnienia owej wróżby, zapowiadającej coś wielkiego dla kraju za jego rządów. Wszędzie więc, gdzie się otoczony radą swoją i duchowieństwem ukazał, zdobywał przekonanie mieszkańców, dobierając najwłaściwszych ku temu sposobów. Do oświecześniejszych, po kapłańskiej nauce zwracał się z przedstawieniem korzyści kraju, światła, jakie dzieci czerpać będą z mądrości przybyłych duchownych, znaczenia u obcych, ciemniejszych zachęcał datkami i obietnicą, a gdzie ciemnota i zagorzałość sil-

niejszy stawiała opór, nie wahał się stanąć i mężnie wystąpić.

Nad brzegi rzek kazał znosić czezone dotąd bałwany, i nie zważając na szemranie, a



Dolina Strązyska.

czasem i groźne okrzyki ludu, w swojej obecności kazał kruszyć, topić, a o ile były drewniane, palić pogańskie bożyszcza. Lud zdziwiony ich bezwładnością, widząc, że się za

swoją nie ujmują krzywdę, odwracał się od nich z pogardą i czując potrzebę wiary, po starzej, chętnie do nowiej, prawdziwej i tyle mu zaleconej się zwracał.

dają, że się to dzieje z radości, pochodzącej z końca zimy, tej pory roku tak groźnej i obrazem śmierci będącej, że ją Marzaną nazywano; lecz może zwyczaj ten i ztąd powstał, że w tej samej porze, bo 7-go Marca odbywało się owo ogólne topienie bałwanów pogańskich za Mieczysława.

Kiedy się książę tak mozolnie zajmował, małżonka jego w poznańskim pozostawszy zamku, nie trawiła beczynnie drogiego czasu; modląc się i polecając Bogu tych, którzy pracowali nad rozkrzewieniem chrześcijańskiej wiary, sama pełniła ściśle przepisy tej świętej religii. Otoczona mniejszym orszakiem dworzan w nieobecności męża, wolna od udziału w przyjmowaniu postronnych gości, więcej miała wolnych chwil i łatwiej mogła opuścić książęce komnaty, by w prostej odzieży zwiedzać uboższe domki stolicy, lub bliższych jej okolic i nieść cierpiącym pomoc, pociechę, czasem rady i środki lekarskie, których znajomości nabyła na dworze króla, ojca swojego; ile zaś razy nie mogła sama spełnić tej miłej sobie powinności, posyłała przynajmniej zaufane niewiasty, żądając od nich ściślego sprawozdania.

Wśród Marca, 966 roku, kiedy już śniegi puściły, a powstałe ztąd roztopy pozalewały drogi i ulice, dwie niewiasty w grubej sukiennej odzieży, w drewnianych sandałach, chroniących nogi od wilgoci, przebierały się przez liczne kałuże i wyboje ku najodleglejszej stronie miasta. Już minęły szeroką i staranniej utrzymaną ulicę, już coraz rzadziej widać było drewniane domy, coraz pustszą była ta strona, a nakoniec za obszernym błotnistym rozlewem jedna już

Dotąd jeszcze w wielu miejscach, w czasie wielkiego postu, lud wiejski prowadzi do rzeki bałwana, urobionego ze słomy i tam przy śpiewach i okrzykach takowego topi; powia-

*) Supan, żupan, przewodnik pierwszych gmin zw. opolem.

tylko chata wynurzała się z mgły i mroku, gdy jedna z wędrownic, wysunawszy się na przód, jakby szukała sposobu obejścia błota, po chwili zawróciła ku pozostałej, mówiąc:

— Niepodobna!

— Muszę koniecznie pójść dziś na Lasotyń, odrzekła druga i przeżegnawszy się, uniosła nieco szaty, krocząc śmiało w kałużę. Towarzyszka pośpieszyła za danym przykładem, i wspierając się wzajemnie, po niemałym trudzie, po kilku potknięciach się, stanęły na drugiej stronie, a otrząsnawszy odcież, weszły do starego domostwa.

W naszych czasach dom ten i całe jego urządzenie ubogim nazwaćby można, lecz w owym czasie, kiedy zbytek nieznanym jeszcze był w kraju, a nawet przedmioty do pierwszych wygód życia potrzebne, za rzadkie uważane zjawiska, ledwie na dwór książęcia i możnych panów przechodziły od sąsiednich narodów, Polacy, niewymyślni jeszcze, przedstawiali na małym.

Drzwi z grubej tarcicy, na ciężkich, niezgrabnych zawieszonych hakach, chroniły nieco mieszkanie od podmuchów mroźnego wiatru, oświetlało je słońce, w południe przedzierając się mocniejszymi promieniami przez cienkie błonki, zastępujące nieznany jeszcze zbytek szybszklanych, w kącie na ognisku, z nieociosanych kamieni ułożonem, paliły się szczapy sosnowe, czerwony płomień buchał do góry, a dym czarny i gęsty tłoczył się pod górne belki i wychodził powoli otworem, wybitym na to w opleśniałym dachu.

Przy zakopconej ścianie, na wywyższeniu ze skór wilczych i niedźwiedziach wzniesionem, leżała stara kobieta; postać jej wychudła, nienaką prawie w składach wełnianej szaty, twarz blada, nędzna i zgrzybiała, oczy przygasłe, były jawnymi świadkami ciężkiej choroby; ręce złożyła na piersiach, a lekkie drżenie ust i niepewne spojrzenia dokoła izby rzucane, mówiły o tajemnym jakimś niepokojem.

Przy niej na drewnianym pieńku siedział poważny starzec, czarna szata i pas skórzany wskazywały w nim jednego z duchownych, co z księżną z Czech przybyli; modlił się cicho, spoglądał bacznie na chorą i od czasu do

czasu zbliżał do jej ust kubek z uspokajającym napojem.

Gdy dwie niewiasty, przestąpiwszy próg chaty, powitały starca chrześcijańskim zwyczajem, zwiększył się niepokój chorej, a oczy jej z trwogą i przerażeniem poglądały w kąt izby, do którego najrzadziej sięgało światło ogniska. Po krótkiej z przybyłymi rozmowie, duchowny opuścił chatę, a starsza z niewiast, zbliżywszy się do łóża, z łagodnym twarzą wyrazem rzekła miłą czeską mową:

— Lepiej wam widzę, sędziwa Rogniedo?

— A tak, lepiej, odpowiedziała chora przytłumionym głosem. Wam to i dobrej księżnie, co was tu przysyła, winnam powrót do zdrowia, o którym już nie myślałam.

— Nie nam dziękuj, staruszko, nie nam, ale temu Bogu, w którego uwierzyłaś i któremu służyć odtąd będziesz.

Chora zakryła twarz rękami.

— Gdyby nie miłosierdzie wielkiego Boga, mówiła dalej niewiasta, nie ujrzałabyś już w tym życiu syna, który może w tej chwili przybędzie; co gorsza i on bez ciebie, bez twojej woli i namowy, możeby nie prędko jeszcze porzucił błędy pogańskie.

Wzrok staruszki dzikiego nabrał wyrazu.

— Wojsław już przybył, wyrzekła z cicha? słyszę go!

— Przybył? czy wie już, żeś chrześcianką?

W tej chwili zgłęb straszliwy dał się słyszeć przed chatą, liczne głosy przemawiały groźnie i surowo, a jeden nad wszystkimi górował:

— Tak, tak, u mnie jeszcze bogi mają schronienie! Wyście się ich wyrzekli, daliście je potopić, a ja ich strzegę, ja do ostatniej kropli krwi bronić ich będę!

— I ja, i ja! powtórzyło kilka głosów.

Drzwi się nagle otwarły i wśród chaty stanął mąż pięknego oblicza, dorodnej postawy, w rysiem futrze na barkach i w takimże szluku na głowie, zbliżył się szybko do kąta, w który niedawno z takim przestraszeniem poglądała staruszka, a wznosząc topór do góry zawołał:

— Kto się targnie na ostatniego z naszych bogów?

Towarzyszący mu mężowie otoczyli go przyjaźnie, dobywając oręża, a w tężże

chwili we drzwi domu zaczęli się tłoczyć wysłańcy książeccy, ścigający po kraju pozostałe posągi bałwanów.

Dwa oddziały stały już naprzeciw siebie i wnet miało przyjść do bratobójczej walki, gdy nagle płomień ogniska buchnął rażącym światłem, oświecił całą izbę, a przy jego blasku, po nad głowami przeciwników, ujrzano krzyż zawieszony poprzedniego dnia przez Rogniedę, a poniżej, postawiony w téjże chwili ręką Wojsława potworny posązek Jęsa. *)

Na ten widok dwie kobiety wydały mimowolnie okrzyk żalu i oburzenia, czém ściągnęły na siebie uwagę groźnego męża, którego niespodziewany widok krzyża przeraził i do wściekłości prawie doprowadził. Zbliżył się ku nim z zachmurzonym czołem i wykrzyknął:

— A to wy, nieszczęsne, namówiłyście matkę moję, by porzuciła stare nasze bogi?

— Tak, odrzekła starsza z niewiast, przez nas Bóg prawdziwy zesłał jej swoją łaskę!

— Słyszycie! zawołał Wojsław, słyszycie, to one wprowadziły pod mój dach ten znak nienawistny, który teraz po całym kraju obnoszą!

— Ukarać je! wygnać te Czeszki! zabić! wołali na przemiany towarzysze gospodarza, a on sam wyciągnął rękę do ściany, na której w blasku ognia krzyż połyskiwał, podczas gdy gromada kobiet się zbliżała z zamiarem otoczenia nieznanym. Ale Rognieda pochwyciła prawie syna, wołając przerażona:

— Synu mój! To mój Bóg! Dziękuj Mu i tym co mnie uzdrowiły. Gdyby nie dobroć i starania tych kobiet, nie żyłabym już, nie znalazłbyś już matki i ja nie widziałabym już ciebie!

(d. n.)

Objaśnienie wzorów do rysunku.

Rysunek nie jest jedynie przyjemną rozrywką, ale nauką bardzo potrzebną i użyteczną. Rysunek jest tém dla wzroku, czém muzyka dla ucha; kształci i doskonali władzę

sposzrzegania, uczy nas oceniać trafnie stosunkową wielkość przedmiotów i przedstawiać z łatwością kształty ich i rozmiary. Rysunek zmusza nas do pilniejszego oglądania szczegółów każdej rzeczy, którą mamy przed oczyma, a tym sposobem poznajemy wszystko dokładnie, co zawsze przyda się w życiu.

Znajomość rysunku niejednemu przynieść może ogromne korzyści, a nie sądzimy, aby ktokolwiek, obrawszy jakikolwiek zawód, mógł pożałować czasu poświęconego na tę naukę.

W początkach można rysować po prostu na tabliczce, lepiej jednak od razu używać do tego papieru i ołówków, najpierw, żeby się przyzwyczaić do porządku i ochędóstwa, a potem, żeby zachować początkowe swoje prace i porównyując je z późniejszymi, sprawdzać postępy uczynione w nauce. W każdym razie nigdy nie należy przechodzić od jednej lekcyi do drugiej, nie wykonawszy wprzód doskonale poprzednich zadań.

Odczytawszy te wstępne uwagi, spróbuj odrysować proste przedmioty, których wzór masz przed sobą.

Chcąc wyrysować taflę kamienną, leżącą na ziemi, trzeba najprzód nakreślić linią poziomą; gdy już tę taflę potrafisz wykonać dokładnie podług wzoru, bierz się zaraz do drugiej, prostopadłej, umieszczonej za nią. Jeżeli cały ten rysunek uda ci się tak jak należy, pierwsza tafla będzie miała położenie poziome, a druga utworzy z nią kąt prosty.

Doszedłszy do tego, że pierwszy ten wzór z całą dokładnością przerysować potrafisz, możesz zaraz do następnego przystąpić. Zrób najpierw kwadrat jaknajdoskonalszy; z pewnością ci się uda, jeżeli starań dołożysz, a wtenczas przykładaj się do odrysowania koła środkowego, które powinno dotykać kwadratu w czterech miejscach, po samym środku każdego boku.

A teraz masz znowu koło do wykonania. Nie zdołasz go w żaden sposób wyrysować od razu, za jednym pociągnięciem ołówka, ale dojdiesz do tego stopniowo, rysując ostrożnie, leciutko, żeby pierwsze próby dały się zetrzeć z łatwością. Możesz sobie ułatwić robotę, zakreślając delikatnie kwadrat, który rozdzielił na cztery równe części za pomocą

*) Jesze, Jesse główne z bożyszcz pogańskich Polski.
J. Lelewel.

kropek. Wówczas mieć będziesz drogę pewną, przeprowadzisz linie od kropki do kropki, prostując je ostatecznie od oka.

Owal umieszczony z boku składa się z dwóch kół; z początku wyda ci się trudniejszym do wykonania od koła, ale wkrótce nabierzesz wprawy. Pamiętaj o tém, że koło widziane w perspektywie wygląda zawsze tak jak owal albo elipsa; to ci dopomoże do rysowania różnych przedmiotów, takich naprzykład jak talerze, w sposób właściwy, ażeby można było poznać, na czém są ustawione.

Chcąc przedstawić piramidę na sześcianie, trzeba zaznaczyć punkt po nad sześcianem, po środku, oko wskaże miarę wysokości, a następnie przeciągnąć linie proste od tego punktu do wyższych kątów sześcianu. Możesz także dla wprawy rysować z natury różne przedmioty podobne do tych, które masz na wzorze, ustawiając je przed sobą i uważając jak się linie przedstawiają.

Tu kończy się pierwsza lekcya.

A teraz dla wprawy i rozrywki spróbuj przerysować skrzynię otwartą, którą masz na wzorze i szczołkę opartą na niej, pozostawioną zapewne przez kucharkę. Będzie to pierwsza nauka perspektywy. Zaczynaj od kwadratu, który tworzy bok skrzyni wprost przed tobą, potem zaznacz punkt u góry rysunku na lewo, tam gdzie na wzorze znajduje się mały krzyżyk i gdzie się zbiegają wszystkie linie kropkowane.

Przeciągnij delikatnie linie proste od dwóch lewych kątów kwadratu aż do krzyżyka. (Jest to tak zwany punkt celny, na który wzrok twój wprost pada). Odrysowawszy bok nakrywy, pozakreślaj wszystkie linie podług wzoru. Linie te w rzeczywistości są wszystkie równoległe i dla tego powinny się spotkać na jednym punkcie.

Zachowaj dobrze w pamięci następujące prawidło perspektywy, które ci często będzie potrzebne.

Wszystkie linie, równoległe względem siebie, zawsze się z sobą w pewnym punkcie spływają. Szczołka leży równoległe do spodu skrzyni, ulega więc temuż samemu prawidłu. Punkt celny, w którym te rozmaite linie się zbiegają, leży zawsze na linii poziomej. Każdy rysunek, każda rycina, każdy obraz, na

taką linią poziomą, od której zależy punkt celny. Jeśli potrafisz dobrze zachować to prawidło, każdy przedmiot, który odrysujesz, czy to będzie skrzynia, czy kościół, czy dom, zawsze się oku przedstawi we właściwem położeniu, a mówiąc innemi słowami, przedstawi się w perspektywie.

Przerysowując wzór, tuż obok umieszczony, zaczynaj od jabłka środkowego, odrysuj potem gałąź, która je podtrzymuje. Dodaj następnie liście, uważając dobrze ich kształt, który jest nieco podłużny, spiczasto zakończony. Jeśli zaznaczysz cienie, tak jak na wzorze, jabłka wyglądać będą okrągłe i wypukłe, inaczej pozostaną płaskie. Dla wprawy dobrze jest każdy wzór przerysowywać po kilka razy, zachowując zawsze téż same proporcje pomiędzy przedmiotami, ale zmieniając za każdą razą rozmiary ogólne, a najlepiej powiększać stopniowo rysunek. Tym sposobem nabywa się biegłości, pewności ręki i oka, gdyż rozmiary rysunku nie mają same w sobie żadnego znaczenia. Nieodbitnie potrzebne jest tylko zachowanie właściwych proporcji.

PRZYGODY

MŁODEGO PODRÓŻNIKA W TATRACH.

z dziennika Kazia przepisała

M. J. Zaleska.

(Ciąg dalszy).

XIV.

Teraz dopiero mogę śmiało powiedzieć, że byłem na górach. Wczoraj weszliśmy na sam szczyt Gewontu, siedzieliśmy sobie w owej szczerbie, którą tak wybornie widać z Zakopanego. Kto był szczęśliwy, to Jadwisia, bo znalazła na Gewoncie takie osobliwe kwiaty, jakie podobno nigdzie na innych górach w Tatrach nie rosną; między innymi jakiś rzadki gatunek traganku, *Astragalus montanus*; każdy, kto choć troszeczkę umie po łacinie, zrozumie, że *montanus* znaczy górski, czyli na górach rosnący. Ładna to bardzo roślina, ma kwiateczki błękitne, motylkowate, to jest takiego kształtu, jak kwiat akacyi, a listecz-

ki drobniutki, także, tak jak u akacyi, na wspólnej łądźce osadzone. Dziwna to rzecz, doprawdy; akacya, wielkie drzewo i ten malutki traganek, takie jednak podobieństwo do siebie przedstawiają, że je botanicy do jednej zaliczają rodziny, bardzo właściwie nazwanej rodziną motylkowatych, od kwiatów, które zupełnie jak motylki wyglądają. Znaleźliśmy także na Gewontie przesliczną ostróżkę, o wielkich kwiatach szafirowych, którą wprawdzie widzieliśmy już nieraz, ale tylko po ogrodach, starannie hodowaną; właściwą jej ojczyzną są Alpy, ztąd nazywa się ostróżką alpejską, a po łacinie ostróżką wyniosłą *delphinium elatum*. Ja wielkim znawcą nie jestem, a jednak zatrzymałem się zdziwiony, gdy spostrzegłem przed sobą duże krzaki pokryte temi wspaniałemi kwiatami, ale warto było wiedzieć, co się działo na ten widok z moją siostrzyczką i panną Waleryą, równie zapaloną botaniczką! Mamy już teraz w zielniku i tę wierzbę malutką, której tak byłem ciekawy. Jak też doprawdy dziwnie wygląda! Liściczki twarde, skórkowate, łądźka pełzająca, a jednak drzewiasta i kwiat zebrany w kotkę, zupełnie podobny do zwyczajnych kotek wierzbowych.

Ja tu prawie o botanice i osobliwych kwiatkach, a nic nie mówię, jak to my dostaliśmy się na Gewont, gdzie te kwiaty rosną. Zaczynajmyż tedy porządnie, od początku. Już nawet nie będę powtarzał, żeśmy wstali raniuteńko, bo tu w górach na każdą wycieczkę trzeba się wybrać o świcie, żeby mieć czas coś obaczyć i przed nocą powrócić do domu. Jak zwykle więc, przewodnicy pobudzili nas przed wschodem słońca i jak zwykle zebrała się cała nasza gromadka przed kościołem, gdzie czekało kilka wózków. Jadwisia na ten raz zapomniała zupełnie o powadze dorosłej panny, skakała jak małe dziecko, ścisnęła pannę Waleryą i mnie ni ztąd ni z owąd rzucała się na szyję, powtarzając ciągle z zachwyceniem: na Gewont! na Gewont! Trzeba wiedzieć, że siostrunia kochana wczoraj jeszcze z rana żadnej nadziei nie miała na tę wycieczkę, bo mama obawiała się iść na Gewont, a jej puścić bez siebie nie chciała. Biedna Jadwisia, która nigdy się z mamą nie sprzecza, tak jak to inne panienki umieją, wzdychała

tylko z cicha, patrząc na przygotowania do naszej wycieczki, spostrzegłem nawet, że łądźca miała w oczach i żał mi się jej zrobiło, zacząłem więc prosić mamy, żeby jej pozwoliła pójść z nami. W tém wszedł przewodnik nasz Slimak, a usłyszawszy to, odezwał się także:

— A toż byłaby wielka szkoda, żeby panienka z nami nie poszła; a toć oni tak ślicznie po górach chodzą, jak anioł. Rozśmiała się mama na te słowa, uśmiechnęła się i Jadwisia przez łądźcę, a pocziwy Slimak dalej mówił:

— Niechżeż już pozwolą, niech pozwolą; ja panienki na krok nie odstąpię, niech się nie boją, tam nic niebezpiecznego niema.

— Ale jakżeż ona tak pójdzie sama, z paniami, mówiła mama, która widocznie mięknać już zaczynała.

— O, jeżeli o to idzie, zawołałem, ja ręczę, że panna Walerya pójdzie z nami dla towarzystwa Jadwisii; zaraz pobiegnę zapytać.

— O, pójdź, Kaziu, mój Kazieczku, pójdź; wołała siostrzyczka, a ja nie czekając już, co mama na to powie, pędem pobiegłem do mieszkania panny Waleryi i w kilka minut powracałem z tryumfem, prowadząc ją samą, a mama już nic nie mówiła, tylko się uśmiechała i nie sprzeciwiała się, gdyśmy jej wszyscy dziękowali, co przecież tyle znaczyło, co pozwolenie solenne.

Tym to sposobem siostrzyczka moja, ustrojona w swój serdak wyszywany, z siekierką w rękę i pudełkiem blaszanem, przewieszonym przez plecy, dążyła wraz z nami na Gewont. Wszyscy byliśmy w wybornym humorze, chociaż pogoda nie bardzo nam jakoś sprzyjała; deszcz wprawdzie nie padał, ale słońce co chwila kryło się za chmury, a mgły snuły się po lasach i wąwozach. Przewodnicy jednak dodawali nam odwagi, powtarzając ciągle, że deszczu nie będzie; wysiadłszy więc z wózków za Kuźnicami puściliśmy się przez las pod górę. Wkrótce stanęliśmy na polanie, zwanéj Kalatówkami, gdzie napiliśmy się wybornego mleka. Idąc dalej, usłyszeliśmy szum i huk, jakby jakiegoś wielkiego wodospadu.

— To źródło Białego Dunajca, rzekł jeden z przewodników; ale pan profesor X, który szedł także z nami, pokręcił na to głó-

wą, mówiąc, że to jest źródło Bystrój, a Dunajec powstaje dalej z połączenia téjże Bystrój z kilku innymi potokami. Dodał jednak, że warto chwilę czasu poświęcić na obejrzenie tego źródła, które jest bardzo piękne. Ze szliśmy trochę na dół i w rzeczy samej wspinały widok ujrzelśmy przed sobą. W głębokim dole, z pomiędzy skał ogromnych, nagle, gwałtownie, wybucha masa spienionej wody. Prześlicznie wygląda ta piana biała jak śnieg, przy ciemnej zieleności świerków, zwieszających się nad potokiem z wierzchołków skał okolicznych. A jaki tam szum, huk i łoskot; stojąc nad brzegiem tej głębiny, nie słyszy się własnego głosu, a na twarzy czuje się chłodny powiew od silnego pędu wody.

Nie długo jednak cieszyliśmy się tym pięknym widokiem, trzeba było iść dalej; wkrótce stanęliśmy na dłuższy popas na polanie Kondratowej, gdzie stoją szałas pasterskie i pasą się liczne trzody. Ztąd już droga stawała się coraz trudniejsza, musieliśmy się pięć stromo pod górę, a górale powiedzieli nam, że to miejsce, niewiem doprawdy dla czego, nazywa się Piekłem. Ojciec tylko jeden utrzymywał, że droga ta rzeczywiście jest piekielna, my młodzi wspinaliśmy się żwawo po śliskiej nieco trawie, z pomocą naszych siekierek, a Jadwisia nie ustępowała nam kroku. Tymczasem mgła coraz gęstsza zaczęła się rozsuwać przed nami. Nigdy w życiu podobnej mgły nie widziałem. Przyszło w końcu do tego, że nie rozpoznawaliśmy jedni drugich o kilka kroków; trudno sobie wyobrazić, jak to dziwnie wyglądało, zwłaszcza, gdy mgła chwilami troszkę się rozrzedzała i postacie naszych towarzyszy snuły się jak widma jakieś niewyraźne przed nami. Poczciwi przewodnicy ciągle nawoływali podróżnych, bojąc się, żeby się jeszcze nie pogubili. Czasem gęstsza masa mgły przesuwiała się przed oczyma naszymi, a Jadwisia wołała:—Chmura płynie, patrz, patrz, Kaziu, my tu w chmurach jesteście i chmury koło nas przepływają! Profesor znów martwił się, że darmo podjęliśmy tyle trudów, bo nic nie zobaczymy na Gewoncie, a ja gotów byłem kwitować na ten raz z widoków, tak mi się podobała ta szczególna mgła i te chmury pływające w powietrzu tuż nad mo-

ją głową.—Jakież to śliczne, jakie fantastyczne, powtarzała panna Walerya. Ale prawdziwa fantastyczność zaczęła się dopiero, gdyśmy się dostali aż na szczyt Gewontu. Nie mówię już, że droga pod koniec coraz była trudniejsza; trzeba było drapać się na opokę prawie prostopadłą, przebywać ogromne głązy, piętrzące się po drodze; co się ojciec nastękał, o tém już lepiej nie wspominać, narzeczcie odetchnęliśmy wszyscy, gdy przewodnicy zawołali:—Oto już szczyt Gewontu, niech tu sobie spoczna. Szybko porozkładali kołdry na wilgotnym mechu i po kilkugodzinnych trudach z rozkoszą usadowiliśmy się, gdzie kto mógł, nie patrząc nawet przed siebie. W tém nagle, ach, cóż to był za widok! ciężka, szara chmura, wiatrem pędzona, rozdarła się na dwoje, wielki szmat błękitu wyjrzał z pod téj zasłony, rozjaśniło się niebo nad nami, a niżej, pod stopami naszymi, gdzieś w straszliwej głębini, ukazała się cała dolina Strążyska, i potok płynący w dole, jak wstążeczka srebrna, i skały dziwacznych kształtów, sterczące z pośród ciemnych borów i jasno zielone łąki; nawet trzody migwały, jak drobne mrówki, na stokach oddalonych.

(d. c. n.)

KALENDARZYK.

8 Marca 1223 r. umarł w Jędrzejowskim klasztorze Cystersów, w okolicach Krakowa, ojciec naszych kronikarzy, Wincenty Kadłubek, którego postać we mgle wieków opromienia świętości aureola. Urodzony w dawném województwie Sandomierskiem, we wsi Karwowie pod Opatowem, z matki Benigny i ojca Bogusława Poraja, ćwiczył się pilnie za młodu w naukach. Zostawszy w późniejszym wieku kapłanem, był najpierw proboszczem kościoła Panny Maryi w Sandomierzu. Zauważywszy wtedy rzadką jego roztropność, król Leszek Biały zażądał, aby jako poseł towarzyszył do Halicza jego córce Salomei, która miała być tamże zaślubioną królowi Kolomanowi. Młody wówczas Koloman z wielu walczyć musiał przeszkodami, nim osiągnął tron ojcowski. Kadłubek wspierał go mądrą radą w niejednej przygodzie i włożył wreszcie na skroń jego koronę kró-

lewską. Powróciwszy do kraju, wyniesiony na biskupstwo krakowskie, łagodną powagą godził mierzwaźnione umysły różnych panów i zajmował się dobrem swęj dyccezyi, zawsze i przedewszystkiem sprawiedliwosci przestrzegajęc. Ocenil on odrazu zaslugi Jac-ka i Czesława braci Odroważów i pierwszego kustoszem Sandomierskim, drugiego zaś kanonikiem krakowskim uczynil. Rządnością i gospodarnością mnozył dochody w dobrach biskupich, aby je obracać potēm, już to na hojne jałmużny, już to na opatrywanie potrzeb ubogich kościolów; wiele tēż poczynil pobożnych fundacyj i wiele prawdziwie miłosiernych uczynków. Przebywszy lat dzie-sięć na stolicy biskupiej, zkąd przyświecał na kraj cały mądroscią i cnotą, za pozwoleniem Papieża usunął się od świata do Jędrze-jowskiego klasztoru Cystersów, gdzie po pię-ciu latach na modlitwie i pracy spędzonych, bogobojnego żywota dokonał. Ciało jego spoczęło tamże, część zaś kości przewieziono później do Sandomierza.

Łamigłółwka.

W kwadraciku z 16 podziałek ułozyc nastę-pujące litery: 5 A, 1 B, 2 M, 1 N, 4 R, 2 T, 1 U, tak ażeby utworzyc w poziomym zaró-wno jak i w pionowym kierunku wyrazy, które oznaczają: 1) nazwę członka rodziny, 2) Dodatek do obrazu, 3) Rzecę w Azji, 4) nazwę krzewu.

Ewelka.

Łamigłółwka głóskowa.

Z sześciu głósek jam jest rzeka,
A i nazwisko człowieka;
Odej m pierwszą i szóstą, myślisz zem kaleka,
Gdzietam—jam znów nazwą czleka.

Jaskółka.

Tajemnicza głóska.

Fara—Kozą—Kura—Ale—Nora—Nuta—
Orda—Rama—Kary.

Należy wynalezć pewną głóskę, która do-dana do każdego z tych wyrazów, utworzy zeń zupełnie inny.

Jaskółka.

Rozwiązania do N-ru 11-go.

Zagadnienia arytmetycznego:

Było ich 36,
raz jeszcze 36,
 $\frac{1}{2}$ to jest 18,
 $\frac{1}{4}$ to jest 9,
w dodatku 1,

100.

Szarady: Kawka.

Odpowiedzi od Redakcyi

Bronisiovi N. Wszystkie zagadki i łamigłółwki dosko-nale odgadnięte. Prosimy bardzo o wiadomośc, czy ta nie-dobra choroba już przeminęła. Dziękujemy za uprzejme słówko o *Wieczorach*. Komedyjek mamy kilka w pogoto-wiu. Obiecaliśmy już pewnej panience taką, w której wię-ciej dziewczynek występuje; musimy więc dotrzymać sło-wa, ale później zaraz zamieścimy drugą z chłopczykami.

Mani Gr. Kto tak dobrze odgaduje szarady, powinien-by i liścik własną rączką napisać. Spodziewamy się, że *mała Mania* wkrótce nam tę przyjemnośc sprawi.

Halince i Zosi K. w *Słomczycach*. Dziękujemy bar-dzo za uprzejmy liścik i wiadomośc o rozwiązaniu łami-głółwek. Spodziewamy się, że już teraz nie nie stanie na przeszkodzie tak miłej dla nas korespondencyi.

Edziowi Śl. Łamigłółwki dobrze rozwiązane. Nadesła-na zagadka jest zbyt łatwa do odgadnięcia; prosimy o in-ną troszkę trudniejszą.

Maryni C. Otrzymaliśmy rozwiązanie zagadnienia ary-tmetycznego; na drugi raz prosimy o dłuższy liścik, a wten-czas i odpowiedź będzie dłuższa.

Marylee S. w *Dąbrowie górniczej*. Cieszymy się bardzo, że podróż w Tatrach tak zajmuje naszych czytelników. Najmilszą nagrodą każdego, kto pisze dla młode-go wieku, jest życzliwość i współczucie tych, dla których pracuje. Nie szczędi tēż trudów i starania, jeżeli jest pe-wny, że to, co napisze, z przyjemnością i zajęciem będzie czytane. Nadesłana łamigłółwka bardzo wdzięcznie obmy-słana, zamieścimy ją niezadługo.

Ansi B. Rada nasza, jak się pokazuje, wybornie po-skutkowała; dziękujemy za tę przyjemną wiadomośc i ró-wnie szczerze do dalszych usilowań zachęcamy.

Marylee Bar. Liściki zapewne na poczcie zaginęły, bo odtąd odebraliśmy tylko ten jeden i tak późno, że już nie mogliśmy w zeszłym Nrze *Wieczorów* odpowiedzieć.

Janince i Idalce D. w *Sochaczewie*. Rozwiązanie trafne, a nadesłana zagadka byłaby dobra, gdyby wiersz był trochę gładszy. Nie należy się jednak zrażać pierw-szém niepowodzeniem. Nie jest to wcale łatwą rze-czą do-bry wierszyk napisać; i dorosłym się to nie zawsze udaje.

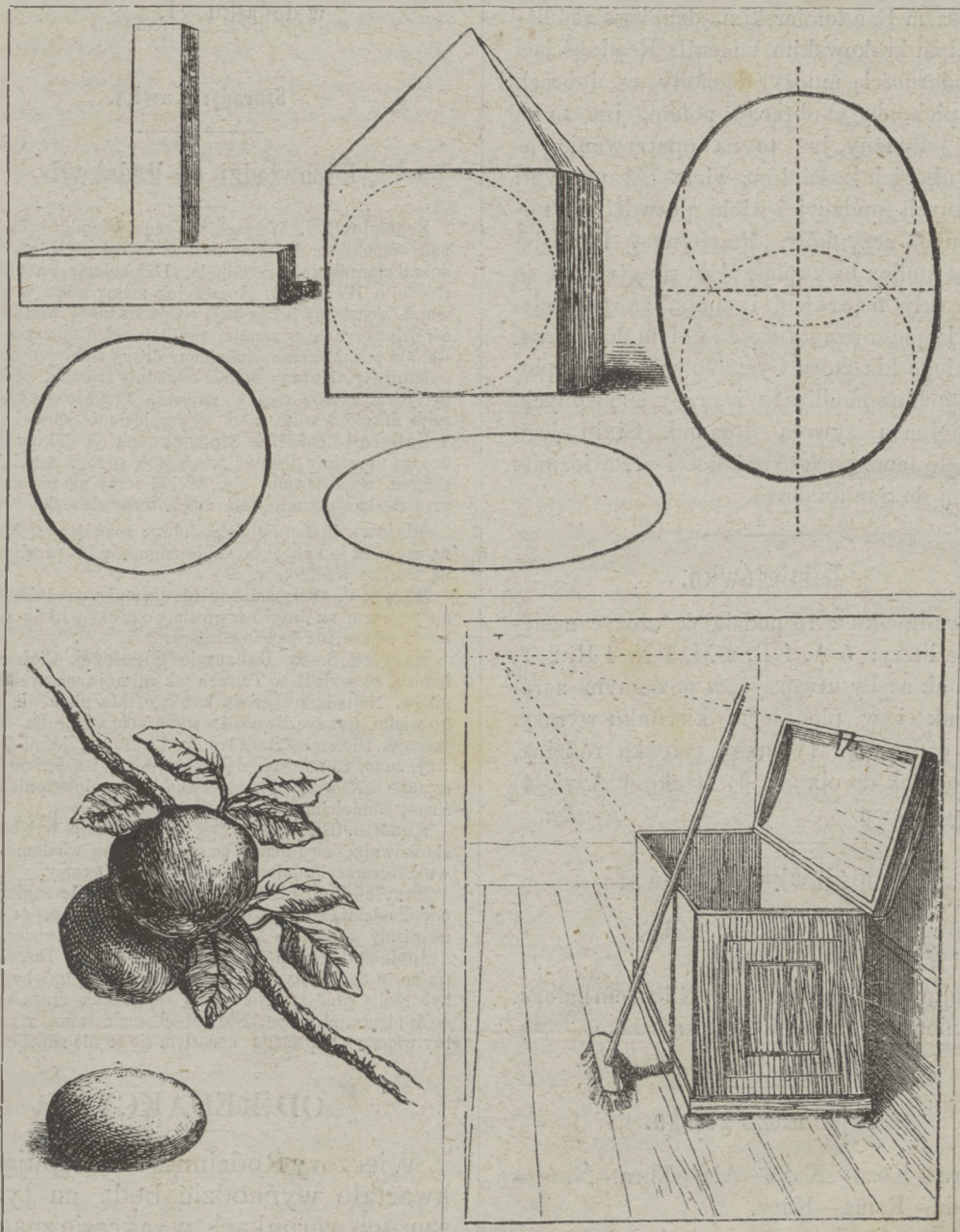
OD REDAKCYI.

Wieczory Rodzinne w następującym kwartale wychodźć będą na tychże samych warunkach, w zakresie znacznie obszerniejszym od początkowego pla-nu; odtąd bowiem cały Numer Pisma, to jest 16 str. zapełniać będziemy treści-ą urozmaiconą. Dalszy ciąg Historji

Biblijnej oraz Historją Powszechną i inne wykłady naukowe, zapowiedziane w programie, podawać będziemy w osobnych dodatkach bezpłatnych, natychmiast po uzyskaniu stosownego pozwolenia.

PPENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie rocznie: 4 rs. 10 kop. na Szp. Dz. Na prowincyi i w Cesarstwie z przesyłką pocztową: 5 rs. 10 kop. na Szp. Dz.



Wzory do rysunków.